Cena numeru 10

RÓŻGI

BIJĄCO TYDZIEŃ

Rok I 6 Październik 1946 Nr 9

Uchwalając jednomyślnie ordynację wyborczą, Stronnictwa Zblokowane podporządkowały się najistotniejszym interesom Państwa

Rys HENRYK TOMASZEWSKI

SUBORDYNACJA WYBORCZA

Obywatel Rózga ma głos

Wyszedłem sobie w zeszłym tygodniu na podwórze, a tu podchodzi do mnie pani Kutermankiewiczowa, wdowa z pieskiem, i powiada:

— Panie Rózga, jak tego swojego jamnika nad życie kocham, tak zaopatruj pan się odrazu w mąkę, cukier i słoninę.

Doprawdy, że zgłupiałem.

— Dlaczego — pytam — pani Kutermankiewicz, dlaczego?

Kutermankiewiczowa obejrzała się dokoła siebie i szepnęła tragicznym głosem:

— Wojna, wojna na włosku. Nasz sklepikarz, pan Majonez, mówi, że są znaki na niebie: białe ciała fruwają nad Oslo, Kopenhagą, Atenami i Florencją. Pan rozumiesz, co to białe ciała?

Szarpnęła jamnika na lince, dodała, że biada nam, płacz, zgrzytanie zębami, wogóle koniec świata — i poszła.

Nie jestem zabobonny, ale się przestraszyłem, bo rzeczywiście zarówno według królowej Saby jak i przepowiedni mnicha z góry Synaj znaki na niebie — niedobra rzecz. Postanowiłem zapytać o to Czyżyka. On się na wszystkim zna. Na znakach też.

Naśmiał się ze mnie.

— Znaki na niebie? — zauważył. — Dmuchaj, bracie, na to. Z ziemi rakiety puszczają, żeby frajerów straszyć.

Wzmocnił mnie Czyżyk na duchu, to też na drugi dzień z miejsca przygadałem Kutermankiewiczowej, gdy z jamnikiem na spacer higieniczny się wysunęła:

— Znamy się na pani białych ciałach: finfy paniusia puszczasz i tyle!

— Finfy? — pisnęła p. Kutermankiewiczowa. Och, głupi ordynusie! A może zaprzeczysz pan, że na słońcu obecnie plamy występują?

Naturalnie, nie mogłem zaprzeczyć, bo nie widziałem, a Czyżyk mi nic o tym nie mówił. Wdowa zaś, widząc, że się waham, ciągnęła triumfująco:

— Przez radio o tym słyszałam na własne uszy. Skarżyli się i przepraszali, że audycje są trochę nie tego, bo słońce popłamione. Pan masz pojęcie, co oznaczają plamy na słońcu? Za-bu-rze-nia, ogólne za-bu-rze-nia...

Więc ja znowu postarałem się spiknąć z Czyżykiem. Tak i tak, powiadam, Kutermankiewiczowa źle się wyraża o słońcu i twierdzi, że z plam słonecznych będą zaburzenia.

Czyżyk zastanowił się i rzekł:

— Plamy na słońcu? Możliwe. Nie wszystko słońce, co się świeci. Ale skoro nawet na słońcu są plamy, cóż dziwnego, że ich tyle na ziemi. Najwięcej plam robią niektórzy dyplomaci. Po prostu blamują się plamami albo plamią się blamami. Na szczęście, są też inni, którzy starają się te plamy wywabić, bo lubią żeby na świecie było czysto i w ogóle porządek.

— Odczekałem na okazję, by się opinią tą podzielić z panią Kutermankiewicz. Akurat opuszczała sklep, niosąc zapasy wojenne.

— He, he — zaśmiałem się. — Nacóż pani tyle dobrego?

— Rózga się pyta? No, to znaczy, że nie czytał pan ostatnich wiadomości.

Zląkłem się, że pewnie będzie mówiła znowu o planetach i kometach, a tu Kutermankiewiczowa o Konferencji Pokojowej.

— Bardzo źle z Konferencją — oświadczyła. — Do tej pory to się ciągle kłócili i sobaczyli, a teraz stop: tylko pięć minut można sobie przygadywać.

— No, to chyba dlatego, aby się wzięli nareszcie do roboty?

— Do roboty? Ano, jeśli zamiast jak dotąd mówić; teraz zaczną robić, to ani chybi wezmą się za łby...

Ponieważ nie było Czyżyka, nie wiedziałem co pyskatej wdowie odpowiedzieć.

LUDWIK JERZY KERN

Piosenka byłego pułkownika

„Panie Domański, panie Domański,
ta demokracja to jest krzyż pański.
Kariery dzisiaj zrobić się nie da,
oj bieda, panie Domański bieda.
Panie Domański, serce się kraje
ponurą przyszłość widzę przed krajem.
Ten kraik bez nas będzie grubiański
panie Domański."

„No bo naprzykład, proszęż ja pana,
cóż to za przyszłość jest bez szampana?
Bez Adrii, panie, i bez Berezy,
czy w taką Polskę możesz pan wierzyć?
Dawniej, rozumiem. Wkoło mundury
i fraki, panie — symbol kultury.
A dziś? Zaginął styl wielkopański
panie Domański."

„Weź pan skolei te ich gazety.
(Czasem je z nudów czytam niestety.)
Że gospodarczy świt — piszą — dnieje
a ja, kochany panie, się śmieje.
Bo gdzież tu przyszłość jest gospodarcza
gdy ich działaczom na frak nie starcza
i chodzą w ciuchach amerykańskich
panie Domański".

„Nasze rządzenie, to była klasa.
Klasa, naturalnie, rządziła nasza.
Nie było, panie Domański, barier
na naszej drodze. Drodze do karier.
Człek dla idei orał, cholera.
Nie to co, panie kochany, teraz.
— A propos. Jaki był dochód pański
panie Domański".

„A już najgorsze, kochany panie,
to, proszę pana, to zakłamanie.
Twierdzą, że Polskę zbudują bez nas.
Oj biedna będzie ta Polska, biedna.
Polska bez gali?... Polska bez fraków?..
Zemści się na nas fatalnie brak ów!
Chyba, że stworzy ktoś rząd ułański
panie Domański..."

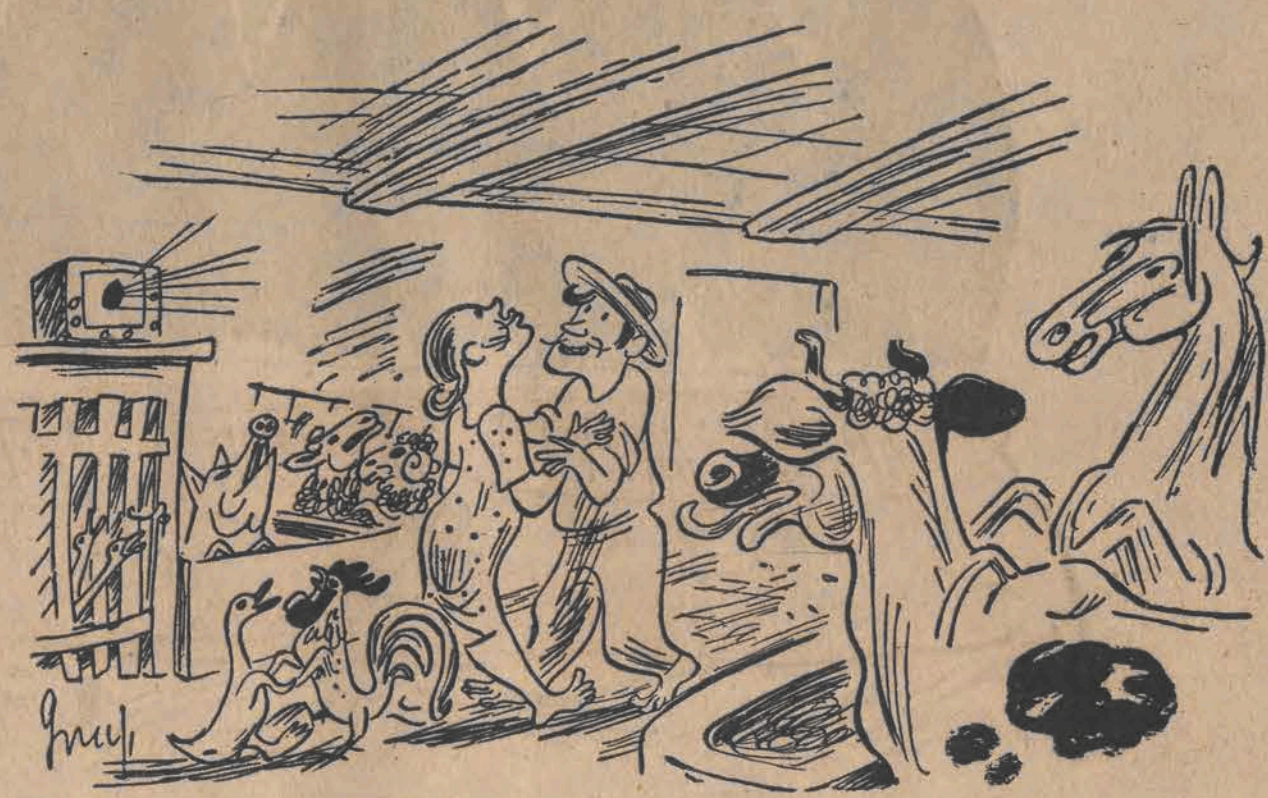

Rys. Kazimierz Grus

RADIOFONIZACJA WSI

Z tej i z tamtej strony „żelaznej kurtyny"

Znany satyryk z za „żelaznej kurtyny", Janusz Minkiewicz, był niedawno z wizytą w Anglii. W Londynie wpadł mu do ręki zdumiewający wiersz wieszcza z „White Eagle'u", p. Mariana Hemara p.t „Płomyk". Z wiersza tego dowiedział się, że wieszcz dla oszczędzenia przyjaciela z kraju (NKWD, katorga, Sybir) obawiał się z nim spotkać w ojczyźnie Churchilla. Minkiewicz sprostował te „obawy" na miejscu, w „Dzienniku Polskimi Dzienniku Żołnierza". Ku najwyższemu zmartwieniu w/w organu angielsko-emigracyjnego drukujemy poniżej i utwór Hemara i wyjaśnienie Minkiewicza, kładąc w ten sposób na łopatki przypuszczenie, że w „demokracji wschodniej" wolność prasy wogóle nie istnieje.

Marian Hemar

PŁOMYK

Fakt drobny — i być może
Nieszczególnie ciekawy:
Przyjechał do Londynu
Przyjaciel mój, z Warszawy —

Z tamtej, z dawnej, z przed wojny.
Ktoś z tej paczki cygańskiej,
W której się siadywało
Na półpiętrze w Ziemiańskiej.

Ktoś co mnie zawsze witał
Miłym uściskiem dłoni
U Simona Steckiego,
W Polskim, czy w Filharmonii

I zawsze do rozmowy
Tematów było wiele.
Lubiliśmy się wzajem,
Tak właśnie jak przyjaciele.

I w brydża ze mną grywał
I bywał u mnie w domu.
Byliśmy z sobą blisko.
Nazwisko? Poco, komu?

* * *

Przeżył wrzesień i wojnę
I Niemców i powstanie
I zagle do Londynu
Przyjechał niespodzianie

Z Warszawy...
(Dziwnie jakoś
Na sercu mi się czyni,
Gdy myślę że tak można
W kilka dni, w tydzień, z Gdyni

Przyjechać tu i chodzić
Po Regent Street, a potem
Po prostu, z Piccadilly
Na Nowy Świat z powrotem —

Pomyśleć tak — i już serce
Z żalu się nie wyleczy.
Ale to tylko nawiasem,
To nie należy do rzeczy).

Przyjechał do Londynu.
Myślałem — nie bez tremy —
Jak go znaleźć? Gdzie szukać?
Kiedy się uściśniemy?

Kiedy znów odnajdziemy
Słowa dawnej przyjaźni
Silniejszej, niźli wszystko,
Co dzieli i co drażni —

Niż siedem lat rozłąki
I siedem lat milczenia
O wszystkim, o czym przecie
Tyle do pomówienia...

Wiedziałem, że się chyba
Także chce spotkać ze mną.
Czekałem go codziennie.
Czekałem nadaremno —

Trzy tygodnie. Aż nagle,
Gdym już nadziei poniechał,
Podano mi wiadomość:
„Przed godziną odjechał".

Prosi, by pan się nie gniewał —
Nie trzeba panu tłumaczyć.
Że chciał bardzo, lecz jednak
Bał się z panem zobaczyć.

Bardzo się tego wstydzi,
Ale jak znaleźć radę?
Prosi by pan zrozumiał —
Ma w Warszawie posadę.

Jeśliby go w Londynie
Widziano z panem, i jeśli
Tutaj do ambasady
Ludzie by o tem donieśli —

Ambasada by zaraz
Doniosła do centrali.
Zanim by wrócił, już by
Z posady go wylali.

Chciał przyjść do Białego Orła...
Wie, że się pan go spodziewał...
Pozdrawia pana w sekrecie...
Prosi, by pan się nie gniewał...'

* * *

„Nie gniewaj się" — proszą oczy
Smutne i zawstydzone
Ach, krew mnie z gniewu zalewa!
Biedną z gniewu i płonę!

Miejsca sobie nie znajdę.
Chodzę przed siebie bez celu —
Gniewam się! Nie na ciebie
Bezradny przyjacielu.

Ot, jutrzenka swobody!
Ot, te dieruine bajki —
Z Warszawy do Londynu
Sięga pięść czerezwyczajki.

Z Warszawy do Londynu
Krwawą wygraża łapą
G P U nieśmiertelne,
Nieśmiertelne Gestapo.

Z Londynu do Warszawy
Donosiciel stupajka
Depeszą prześle donos.
Ot, wasza cała bajka:

Piotr „faszysta", więc Paweł
Niechaj głodem przymiera,
Gdyby widziano go z Piotrem
W Londynie, u Yarnera.

* * *

Teraz — niech to przywalą
Górą druków, papierów,
Pruszyńskich i Szapirów,
Słonimskich i Szererów,

Sterią płacht gazeciarskich
Od Giewontu niemniejszą —
Brechtą, Brezą i Brzechwą,
Tuwimem i Borejszą,

Krzywicką i Kaczyńskim,
„Przekrojem" i Stańczykiem,
Radziwiłłem, Nałkowską,
Kotem i „Czytelnikiem" —

Niech wszystko wrzeszczy, piszczy —
I ślini się i pieni,
Że wolni, że swobodni,
Że nareszcie zbawieni —

Jedna prawda, jak płomyk,
Cały ten stos spopiela —
Drobiazg — przyjaciel bał się
Uścisnąć dłoń przyjaciela.

Janusz Minkiewicz

WYJAŚNIENIE

Marianowi Hemarowi, autorowi „Polskiej hagiografii" w związku z jego wierszykiem pt. „Płomyk".

Kabaret „Orzeł Biały"
Ma wiele różnych zalet,
Choć nie wiem, czy ta nazwa
Stosowna na kabaret?

Z tym mniejsza, Najgłówniejszą
„White Eagle'u" jest zaletą,
Że ma Hemara, który
Jednocześnie jest: poetą,

Muzykiem, piosenkarzem,
Konferensjerów wzorem,
Aktorem inspicjentem,
Suflerem, dyrektorem,

Komikiem, co dowcipem
Z tułaczą walczy chandrą,
Prorokiem, męczennikiem,
Pół-Hiobem, pół-Kassandrą...

Skupiają się w nim wszystkie
Polaków wieczne troski:
Ten wzrok — to Łukasiński!
Ten wąs — Wołodyjowski!

Nasz wodzirejtan scenki
Ascetycznymi wargi
Płomienne swe wygłasza
Kazania raz, raz skargi.

Targa polskim sumieniem,
Tępi jad beznadziei
W każdy czwartek i piątek
Za piętnaście gwinei...

* * *

Na wieść o tym „warszawski"
Rząd obleciał strach blady:
Już Osóbka z Gomółką
Toczą nocne obrady.

Jakie środki przedsięwziąć...
Aż Minc, mózg całej szajki,
Krzyknął: — mam! trzeba wzmocnić
Straże czerezwyczajki!

Lecz Rzymowski się skubie
Trwożnie w pejsy swe rude,
Bo go dziś nie upewnia
Nawet straż NKWD

Mikołajczyk się ukrył
Pod czerwonym sztandarem...
Skąd ta cała panika?
Ze strachu.
Przed Hemarem.

* * *

Zawołali nas ruscy.
Mówią: — Nasze pacholy,
Macie paszport do Anglii;
Jazda! Zbierać toboły.

* * *

Możecie tam się widzieć
Z kim chcecie, ale wara
Jednego wam spotykać!
Kogo?...
Rzecz jasna,
Hemara.

Sentymenta nie obce
Są i płatnym sługusom:
Wprawdzie zakaz — zakazem,
Lecz pokusa — pokusą.

Lekkomyślni, niepomni,
Jaka spotka nas kara,
do „White Eagle'u"-śmy poszli,
Do przybytku Hemara

Wszystkich nas tu wyliczę,
Bo już potem nie zdążę,
Ja, Zaruba wraz z żoną
I Radziwiłł sam, książę.

I nie byliśmy pierwsi
W „Orle" z kraju kiljenci:
Już tam byli muzycy
I z Warszawy studenci.

Tylko jeden z nas, z Polski,
Tej wizyty oszczędził;
Może bał się naprawdę,
Może lepiej czas spędził...

Właśnie za to go zganił
Wierszem pełnym żałości
Marian Hemar, hagiograf
Swojej własnej świętości.

Przyjaciela swojego
Tak próbując tłumaczyć,
Że chciał bardzo, lecz jednak,
Bał się z Hemarem zobaczyć.

Mówiąc serio, Hemarku,
Twój przyjaciel to cymbał:
Ja — na miejscu tamtego
Się doprawdy nie bym bał...

JULIUSZ FUKS

Pamiętnik nienormalnego

1.VI.46. Nie wiem dlaczego, ale chwilami mam wrażenie, że znajomi patrzą na mnie jakoś dziwnie. Jakbym był nienormalny. Sam osobiście czuję się zupełnie normalnie.

6.VI. Dziś przy otrzymaniu pensji kasjer wydał mi o tysiąc złotych za dużo. Zwróciłem mu. Potem usłyszałem, jak jeden kolega szepnął do drugiego: „Patrz, idzie ten wariat. Oddał tysiąc złotych."

Wieczorem powtórzyłem w pamięci tabliczkę mnożenia. Znam na pamięć. A więc myślę normalnie. Nic nie rozumiem.

10.VI. Koledzy w biurze coraz bardziej mnie unikają. Kiedy zbliżam się, rozmawiają między sobą szeptem.

Dziś załatwiałem podanie jednego osobnika. Gość usiłował wepchnąć mi w łapę pięć tysięcy, ale zwymyślałem go. Zobaczyłem jak sekretarka pokazywała buchalterowi ręką na mnie i stuknęła się wymownie palcem w czoło.

A ja doprawdy nie wiem, o co chodzi. Zaczynam jednak tracić cierpliwość.

17.VI. Jestem na Dolnym Śląsku u wujka. Wziąłem urlop i przyjechałem, żeby wypocząć. Nerwy mam chyba nadwyrężone. Najbardziej mnie denerwuje, że mówią o mnie jakbym był nienormalny. Nawet w pociągu, kiedy tu jechałem. Miałem siedzące miejsce i ustąpiłem je jednej kobiecie. Ze spojrzeń współpasażerów zrozumiałem, że mają mnie za lekko stukniętego.

25.VI. Uciekłem od wujka.

Zaczęło się od paru dywanów poniemieckich, których nie chciałem zabrać sobie z opuszczonego mieszkania. „Po pierwsze, one przecież nie są moje — rzekłem — a po drugie nie potrzebuję ich".

Wujek popatrzył na mnie zdziwiony i rzekł: „Wariat jesteś".

Nie mogę znieść tego słowa. Uciekłem.

8.VII. Poznałem ładną dziewczynę. Ma na imię Zosia.

9.VII. Dziś wieczorem byłem z Zosią w kinie.

10.VII. Gdy chciałem umówić się na dziś z Zosią, odrzekła mi:

„Z takim głupcem, który w kinie nawet pocałować nie potrafi, ja chodzić nie będę."

25.VII. Jestem w szpitalu dla obłąkanych. Jak to się stało, zaraz wszystko opiszę.

Przed kilkoma dniami były imieniny kierownika naszego wydziału. Urządzono oczywiście, zabawę. Ja nie lubię pić, ale cztery czy pięć kieliszków wypiłem. W ogóle nie byłem w nadzwyczajnym humorze.

Nagle doszedł do mnie kierownik i nalał mi pełną szklankę wódki. Był pijany.

— Czego pan taki ponury? Pij pan! — bełkotał.

Podziękowałem. Miałem już dość.

— Pij pan, mówię! — wrzasnął.

— Nie będę pić.

— Pij, wariacie!

Nie wiem czy przez przedenerwowanie, czy też skutkiem wypitego alkoholu straciłem panowanie nad sobą. Wyrżnąłem kierownika z całej siły w gębę. Wszczęło się zamieszanie. Koledzy schwycili mnie i zaczęli wiązać obrusem. Kierownik krzyczał niesamowicie, a ja ryczałem jak tur: „Ja ci dam wariata! Ja ci dam wariata!"

Słyszałem jak koledzy mówili do kierownika: „Niech pan się nie denerwuje. On ostatnio już był trochę pomylony. Trzeba zawezwać lekarza".

To mnie jeszcze bardziej rozjuszyło. Sześciu drabów trzymało mnie. Wreszcie przyszedł jakiś lekarz, postukał mnie i pojechaliśmy do szpitala.

Tutaj jest względnie spokojnie. Wszyscy chodzą koło mnie na paluszkach. Lekarz mówi mi: „cacy, cacy".

Tylko najgorsze jest to towarzystwo. Można zwariować. Jeden gra w orła i reszkę i woła, że jest Trumanem. Drugi włazi pod łóżko, krzyczy, że nazywa się Mursik i gryzie w łydki, gdy ktoś podejdzie.

1.VIII. Mam już dość tych wariatów. Wczoraj jeden z nich orzekł, iż jest strażakiem, a ja płonącym domem...

3.VIII. Trzeba uciekać, bo oszaleję. Dziś z rana sąsiad z całej siły huknął mnie w głowę, twierdząc, że jest bombą atomową.

5.VIII. Widzę, że trzeba jakoś działać, bo inaczej będą mnie trzymać Bóg wie jak długo. Zacząłem starania od pielęgniarki.

— Siostro Anno — rzekłem, gdy znaleźliśmy się sam na sam — kiedy mnie już wreszcie wypuszczą? Jak wyjdę stąd, to zaproszę siostrę na fajną zabawę.

Siostra zarumieniła się i uśmiechnęła: „Oho, pan nie jest znów tak głupi na jakiego pan wygląda."

Uśmiechnąłem się tak głupkowato, jak tylko mogłem.

6.VIII. Byłem u lekarza. Prosiłem, aby mnie zwolnić do domu. A potem rzekłem: „Bardzo jestem wdzięczny za leczenie, panie doktorze. Rozumiem, że szpital znajduje się w ciężkich warunkach, jak i personel również... (Chrząknąłem). Chciałbym tu ofiarować coś. Może na walkę z wyrostkiem robaczkowym, czy coś takiego... (chrząknąłem).

10.VIII. Jestem wolny!

Zaprosiłem na dziś wieczór kolegów z biura dla oblania tego faktu.

11.VIII. Leżę w łóżku, cały rozbity po wczorajszym. Tak się upiłem, że nic nie pamiętam, co się działo. Było dziś kilku kolegów z biura.

— Wiesz — mówił jeden z nich — myśmy jeszcze nie bardzo wierzyli, że ty już jesteś zupełnie zdrów. Ale po wczorajszej kolacji przekonaliśmy się, że tak. Byłeś wspaniały, powiadam ci. Kiedy włożyłeś pokrywkę na głowę i krzyczałeś, że jesteś czajnik, tośmy boki zrywali. A kiedy cię oblewali wodą, wołałeś, że jesteś parasol. Teraz dopiero widać, żeś morowy chłop.

W związku z pogłoską o strajku policji paryskiej

STRAJK POLICJI

1. Manifestacje

2. Policja!!!

3. Nic mnie to nie obchodzi!

4. Cywile, ratunku!

5. Zapanbrat

6. Łamistrajki

Rys. Kazimierz Grus

Rys. Jan Lenica

— Kto pana tak urządził?
— Jakiś bokser zastał mnie z żoną...
— No to co?
— To była jego żona!

Rys. Lo-lou

— Wiesz w naszym miasteczku jest tylko jedna kobieta, która nie zadaje się z mężczyznami...
— Kto to może być?

Rys. Lo-lou

— Jak śmiesz smarkaczu! Jestem twoim ojcem czy nie?
— To mnie się o to pytasz

HORACY SAFRIN

Przyjaciółka

Mogłbym ją nazwać: złem koniecznym. Nie jestem jednak na tyle złośliwy. Nazywam ją poprostu: Ziuta.

Ziuta jest moją przyjaciółką. Pojęcie to nieco rozciągłe. Waha się między kochanką a teściową. Kochanka to stworzenie na ogół bezgłośne. Bo proszę, wejdzie cichaczem do pokoju, przekręci klucz w zamku (dwa razy), wlezie milcząco w szlafroczek — odejdzie bez słów.

A przyjaciółka... Bywa gadatliwa i małomówna, kapryśna i rozmarzona, wyrozumiała i zazdrosna. Co gorsza — roztacza nad tobą nieustanną kuratelę. Gdziekolwiek stąpisz, cokolwiek uczynisz czy zaniechasz — zawsze i wszędzie jesteś pod jej ścisłym nadzorem policyjnym. I płacze, och! Wygrywa skalę całą, począwszy od molowego szlochu, skończywszy na trzęsiońce kakofonicznych spazmów.

Pocałowałem ją w taksówce. Lało jak z cebra. Siedzieliśmy zmarźnięci, przytuleni do siebie. Uważałem to za dobry uczynek.

Odtąd terkotał telefon, gabinet mój zamienił się w pewnego rodzaju kwaterę główną. Kurierzy chodzili tędy i owędy. Napróżno zapewniała ich leciwa pokojówka o mojej „chronicznej" nieobecności.

Pewnego razu Ziuta „nawiedziła" mnie w domu. Nad drzwiami gabinetu widniał dantejski napis: „Wchodzące, zostawcie nadzieję w przedpokoju..."

Obejrzawszy kolekcję moich dotychczasowych „miłości" — zemdlała. Zwaliła się literalnie na kanapę. Mogłem zawezwać Pogotowie Ratunkowe i sprawa byłaby zlikwidowana ku obupólnemu zadowoleniu.

Nie uczyniłem tego. Postanowiłem jednak pozbyć się jej za wszelką cenę.

W tym celu spóźniałem się na randki, uczęszczałem do zakazanych melin, chodziłem z niewiastami podejrzanej konduity...

Daremny trud! Na wszystkie moje birbanckie wyczyny miała jedyną stereotypową odpowiedź:

— Kocham cię, jakim jesteś. Smutne to, ale prawdziwe.

Spróbowałem z innej beczki.

Pewnego wieczoru, w parku, na ławeczce, utkwiwszy wzrok w konstelację Wozu, powiedziałem jej z westchnieniem:

— Jestem chory, my darling... Nieuleczalnie, kochanie... Kategoria D. Do wszelkiej służby małżeńskiej niezdatny.

Te same stereotypowe, na pamięć wyuczone słowa:

— Kocham, cię, jakim jesteś. Smutne to, ale prawdziwe.

Cierpliwość moja rwała się jak szwy standartowej marynarki. Najwywrotniejsze plany moje obracały się w niwecz.

Po upływie trzech tygodni siadłem za maszynę i napisałem jej anonim następującej treści:

„Szanowna Pani!

Pokochałaś człowieka, który na miłość Twą bynajmniej nie zasługuje. Dla przykładu: Spędził ostatni „week-end" w towarzystwie znanej ze swych awanturniczych wybryków demimondy S. Przytem wyraził sie o Pani w słowach, naruszających elementarne zasady form towarzyskich. Mówił, że czernisz rzęsy i różujesz policzki. I że powodzenie swe zawdzięczasz w głównej mierze zabiegom kosmetycznym salonu „Beauté" zaszczytnie znanej Madame Parisette.

O czym uwiadamia życzliwy
Znajomy".

Nazajutrz pękła bomba. Na biurku mym leżała różowa koperta. W środku czerniła się schludna, kaligraficznie zapisana odkrytka:

„Harry (trzy wykrzykniki)

Nie trzeba komentarzy (myślnik) wiem wszystko (pięć kropek).

Nie pragnę życia. Ciebie nie chcę więcej widzieć na oczy.

Z.

Post scriptum. Nienawidzę Cię, a tęsknię za Tobą. Oczekuję Cię, jak zwykle, o siódmej obok „Passage".

Zawsze ta sama".

Teraz przebrała się miarka.

Pozostał jeszcze jedyny, najradykalniejszy środek pozbycia się jej na wieki:

Trzeba się z nią — ożenić...

ANEGDOTY

Heredia, udzielając interwiewu, z zachwytem wyrażał się o kolegach, szafując na każdym kroku słowem: „geniusz".

— A pan? — zapytał w końcu reporter.

— Ja — brzmiała odpowiedź — ja mam tylko talent, ale to daleko trudniejsze.

✻

Franciszek Génin pożyczył komuś pierwsze tomy rzadkiej książki i napróżno prosił o ich zwrot. Wreszcie wysłał do swego dłużnika resztę tomów z następującym listem:

„W ten sposób, Szanowny Panie, przynajmniej jeden z nas będzie miał komplet tego dzieła. To będzie, oczywiście, pan, ponieważ pan nie chce, abym to była ja, co się zresztą wydawało mi odrazu naturalniejsze".

Powiedziano humaniście, Budé, który pracował w swoim gabinecie, że dom się pali.

— Proszę uprzedzić o tym panią — odpowiedział — ja się nie mieszam do spraw gospodarskich.

✻

Bibliofil kupuje książkę.

— To bardzo drogo! — powiada.

— Tak, ale to jest bardzo rzadkie.

— No, a gdyby tak ktoś przedrukował?

— Przedrukować? Ależ kiedy to czytał?

✻

Talleyrand powiedział, gdy go zawiadomiono o śmierci Napoleona:

— To już nie zdarzenie to tylko wiadomość.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Pochwała ćwiartki

Napoju mocny, wyskokowy,
W butelce opatrzonej kartką,
Uderzasz do rubasznej głowy,
Ojszysta ćwiartko!

Dlatego chwalę cię dziś odą,
Bo sam z kieliszka (górniej — z „czary")
Wypijam, pokłócony z wodą,
Twoje nektary.

Bez ciebie w pięknym Lechistanie,
Kiedy jest trzeźwa, milczy Muza
I na zabawie któż dostanie
Bez ciebie guza?

„Kochajmy się, zalani ździebko!"
Tak głosisz, ćwiartko, miłość wielką.
„Daj buzi — głosisz — potem w łeb go
Raz, dwa butelką!"

Bez ćwiartki czymże jest Sarmata?
Naczyniem, które pragnie płynu —
Bez płynu myśl do chmur nie wzlata
I nie ma czynu!

W ostatnich słowach pragnę więc rzec:
Chcesz zyskać moc, nie bądź oszczędny
I pij, bo płyn, jak głosi mędrzec,
Jest moczopędny.

Mam tylko drobne zastrzeżenia,
Gdyśmy na trakt pijaństwa wyszli,
Że w ćwiartkowiczach ćwierć marzenia,
Ćwierć czynu i ćwierć myśli.

związku z rozpoczęciem sezonu w teatrach łódzkich pod dyrekcją Leona Schillera

Rys. Henryk Tomaszewski

GWÓŹDŹ SEZONU

STANISŁAW SOJECKI

„Wariacje"

Gdy słyszę bogactwo naszego języka
I mowy rodzimej odurzam się smakiem,
Nie mogę zrozumieć i we łbie mi strzyka,
Że Polak nie umie dziś gadać z Polakiem.

Przekorna natura w tej skórze sarmackiej,
Bo chociaż najszczersze gdzieś padłoby słowo,
Dopatrzy, doniucha się wszędzie zasadzki,
W najlepszym zaś razie pokręci ci głową.

Z przyjaźnią naprzykład wybiegasz do ludzi
I serce przed siebie rzucaż kawałami —
Braciszek je weźmie do rąk i pobrudzi,
Macając, czy towar nie jest siałszowa...

Gdy słowo czasami wypowiesz łaskawsze —
Bo myślisz, że może... że warto spróbować —
Tłum sobie tłomaczy, żeś pewnie znów słabszy
I drogo cię może ten nastrój kosztować.

A jeśli naciśniesz na ton bez ogródek
I pójdzie w świat słowo stanowcze i twarde,
Natenczas wrzask srogi podniesie twój ludek,
Jak gdyby powrozy nie struny miał w gardle.

Albowiem nie umie zrozumieć brat brata;
Lecz niech gdzieś z za morza odezwą się echa
Choć dźwięku nie pojmie, wdzięczy się, uśmiecha
I wtedy by oddał wraz z duszą pół świata!

JAN HUSZCZA

Ilustrował IGNACY WITZ

Ze wspomnień b. komisarza skarbowego*)

W maju roku pańskiego 19..: sytuacja we wsi Bukowa Lipka domagała się od funkcjonariuszów brygady ochrony skarbowej szczególnie zdecydowanych posunięć.

Rozwój bimbrownictwa**) osiągnął tam bowiem swój szczytowy punkt: ciepły, wiosenny wiatr roznosił zapach fermentującego zacieru w promieniu conajmniej dziesięciu kilometrów. Ach, co to był za zacier! Jeszcze dziś na wspomnienie przyjemnie kręci w nosie: zacier z mąki i drożdży w dużych kadziach poprostu „sam chodził", a bąble pulsowały jak żywe...

Niemniej, z plagą należało walczyć. Zawód funkcjonariusza brygady ochrony skarbowej wymaga wielkich zalet charakteru, bo w żadnym innym człowiek nie jest tak bardzo narażony na pokusę, tymbardziej, że niekiedy, aby udowdnić przestępstwo, nie wystarcza węch, ale potrzebny jest zmysł smaku: dopiero po skosztowaniu płynu można niezbicie, zgodnie z własnym sumieniem, stwierdzić, czy ma się do czynienia z „kotłówką" czy też z samą „parówką", napojem, jak wiadomo, nieporównanie szlachetniejszym i klasyfikującym producenta do wyższej kary grzywny.

Łatwo jednak przewidzieć — „skosztować płynu", ale trudniej przy dokonywaniu próby zachować boski umiar, nie przekroczyć tego momentu, po którym człowiek zaczyna widzieć wszystko w męczącym zwielokrotnieniu. Tembardziej trudno, ponieważ przestępcy chętniej i w kuszący sposób podsuwają płyn celem osłabienia zawodowej czujności funkcjonariuszy ochrony.

Dlatego to do Bukowej Lipki wysłano Szurgunia, najbardziej wypróbowanego tropiciela przestępstw bimbrowych. Wysłano z instrukcją: wszystkie narzędzia produkcji, jako to: kadzie, bańki, rury, chłodnice i destylatory obócić w niwecz, a półfabrykaty w postaci zacieru i fabrykaty w postaci kotłówki i parówki przewieźć do powiatu.

Szurguń wyjechał pełen rzewnej wiary w posłannictwo, całkowicie zdając sobie sprawę z tego, iż w Lipce ludzie odznaczają się wyrafinowaniem, przebiegłością w środkach i uczynią wszystko, aby zmylić, przekupić, a jeszcze przedtem spić.

To też przed wyjazdem Szurguń zapisał się na czynnego członka Tow. Antyalkoholowego „Mewa" i ślubował swojej żonie oraz całej naszej brygadzie skarbowej dozgonną abstynencję.

Ze wzruszeniem urżnęliśmy się przytem poprostu nieziemsko.

Szurguń, mimo to, pojechał — nam trzeszczy we łbach, ale czekamy na wyniki.

Wreszcie pierwsza depesza: „Jestem na tropie!"

No, myślimy sobie, tym razem Lipce nie ujdzie na sucho ani jedna kropla bimbru!

Po dwóch dniach znowu depesza: „Sama parówka". Osobiście skosztowałem. Omyłka wykluczona"...

Teraz już wszyscy gremialnie zacierają ręce, czekają na triumfalny powrót Szurgonia ze skofiskowaną parówką.

Wkrótce jednak, zamiast Szurgunia, znowu przychodzi depesza: „Rrrobi — się — cooo?! mmoożna" ale??? wwalika" „truuudna—, siup, prsst"...

Ortograficzna i przestankowa wymowa depeszy poprostu wstrząsnęła: było jasne, że Szurguń załamał się i postawił nas w sytuacji.

Wysłaliśmy Fijasa dla poratowania Szurgunia.

Po upływie tygodnia trzeba jednak było wysłać kolejno Piechala, na pomoc Szurguniowi i Fijasowi.

Piechala cechowała duża ilość dobrej woli, ale pojechał Karambol wydobyć ich wszystkich z niewątpliwej opresji.

Witz przyrzekał, że zlikwiduje gorszącą sytuację i wróci z przestępcami, oraz Szurguniem, Fijasem, Piechalem i Karambolem... Ale nie wrócił, ograniczając się do przysłania trzech pustych butelek, co było poprostu wyzywające, więc pojechałem sam, zaopatrzony w modlitewnik i wojewódzkie instrukcje.

...Kiedy po wyżężonej, prawdopodobnie, działalności, obudziłem się nagi, drżący z zimna w kiosku miejscowego naczelnika straży pożarnej na lipkowskiej dzwonnicy — była jesień, z brzóz opadały listki, szemrał deszczyk nad pełnemi melancholii rżyskami.

Naprawdę, w ika z plagą wymaga niecodziennych zalet charakteru a jednocześnie, kto wie, może nawet nie

Przy tym przynajmniej zdaniu upierały się władze śledcze, do których dyspozycji przekazano nas wszystkich.

*) Rękopis składa się z trzech kartek formatu 18x12 cm., popstrzowych przez muchy, wyblakłych, tkniętych tłustymi plamami. Obfituje w liczne kleksy i marginesowe uwagi w rodzaju: „Klops 42 zł...; wódka 65 zł...; śledzik 10 zł... Autorem jego jest rzeczywiście b.komisarz skarbowy, nieznany bliżej ob. Poncjusz Grzebyczek.

Rękopis ten podaję do druku po raz pierwszy dokonując w nim jedynie nielicznych poprawek, dotyczących przeważnie znaków przestankowych. Rękopisem tym próbowałem zainteresować naszych badaczy literatury, prof. Kujkowskiego i dra Foliusza Maggi'ego.

Napróżno! oni jeszcze i teraz wolą komentować Mickiewicza. Rzucam wobec tego inicjatywę: a może któryś z młodych badaczy? (J. H.).

**) Bimbrownictwo albo pędzenie samogonu — tyle co potajemna produkcja napojów alkoholowych. Współcześnie zupełnie nieznana. Bliżej interesujących się naszą przeszłością narodową odsyłam do cennej pracy Stanisława Skonecznego p.t. „723 łatwe sposoby pędzenia samogonu". Wydane nakł. Wiejskiego Oddziału Zw. Zaw. Literatów Polskich (J. H.)

Rys. Jan Linka

— Postanowiliśmy poprawić panu uposażenie; zamiast 1000 zł, otrzyma pan... dwa banknoty po 500 zł.

Rys. Jan Linka

— Tak hrabio, wiem, że czas to najlepszy lekarz, ale chciałabym, aby to był lekarz — dentysta...

Rys. Jan Linka

— Czy ten koń jest rasowy?
— Nie wiem. On jest taki małomówny!

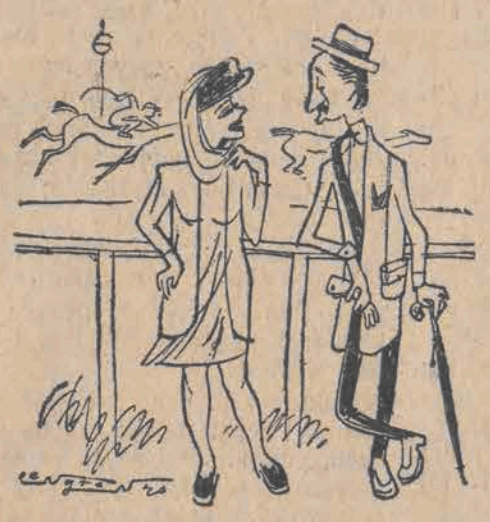

Rys. Zbigniew Lengren

— Loteria, wyścigi, toalety... Gdyby tak jeszcze kasyno gry, to byłby już krok do cywilizacji zachodniej!

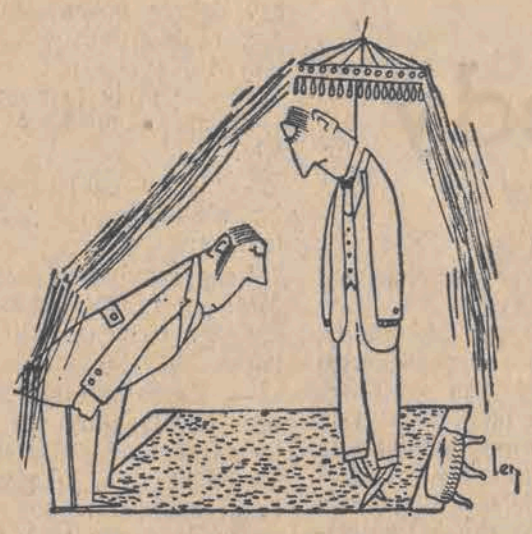

Rys. Jan Lenica

— Jaśnie panie, podano do stołu...

Rys. Zdzisław Dziedziński

— Pani jest niemożliwa! Znowu zmieniła pani wyraz twarzy!

BOGDAN BRZEŻIŃSKI

Alfabetycznie

Józia nie widziałem od czasu powstania. Ucieszyłem się bardzo, gdy go spotkałem.

— Co słychać, stary! — zawołałem serdecznie.

— Po staremu, po staremu — odpowiedział Józio ściskając mocno moją umiarkowaną prawicę. — A wiesz — dodał — ożeniłem się!

— Oo, to jednak po nowemu!... Serdecznie gratuluję!

— Dziękuję. I jeszcze jedno: właśnie dzisiaj spodziewam się powiększenia rodziny. Moja żona już jest w klinice.

— Bój się Boga! To same nowiny! No, no, no...

— Słuchaj, kochany — powiedział Józio — nie gniewaj się, ale właśnie pędzę do kliniki. Jeżeli chcesz, chodź ze mną.

— Doskonale!

Po drodze Józio zwierzał mi się:

— Uważasz, my z Zosią nie jesteśmy taką nowoczesną parą małżeńską, która boi się dzieci, jak ognia. My chcemy stworzyć normalną, staroświecką rodzinę. Marzymy o tym, żeby mieć troje dzieci. Troje rozkosznych bobasków!

— To ładnie.

— Tak. I nawet, uważasz, postanowiliśmy dzieci nazywać alfabetycznie...

— Jakto?

— No, według alfabetu. Jeżeli pierwszy przyjdzie na świat chłopczyk, to nazwiemy go Antosiem, a jeśli dziewczynka — otrzyma na imię Andzia. Drugi byłby Boluś, ewentualnie Bożenka. Potem Celestynek lub Celinka...

— Świetny pomysł!

— Prawda? Bardzo oryginalny! A jak się dowiemy, że wszystko jest już w porządku pójdziemy ten szczęśliwy fakt oblać, dobrze?

— Miałem przyjaciela — odparłem z powagą — który zawsze twierdził: dwóch rzeczy nie odmawiam — pacierza i wódki. Ja wprawdzie w pierwszej części z nim się nie solidaryzuję, ale wódeczki nie odmówię!

— Jesteś złoty chłop! — pochwalił mnie Józio. — A wiesz co?

— Nie wiem.

— Ponieważ przyjdzie na świat dziecko z serii „A" — będziemy pić anyżówkę! Co ty na to?

— Wspaniale! Wszystko alfabetycznie!

W klinice czekaliśmy dość długo w korytarzu. Nagle ukazała się jakaś pielęgniarka cała w bieli.

— No, i jak tam? — spytał niespokojnie Józio.

— Aa, to pan! — zawołała pielęgniarka i uśmiechnęła się pogodnie. — Gratuluję panu: synek!

— Synek?! Już?! Boże kochany! Synek, synek! Antoś!

— Anyżówka! — dodałem z zapałem.

— Czy mogę zobaczyć mego synka? — spytał Józio z niecierpliwością.

— Wykluczone. Może za godzinę...

— Czekam — powiedział Józio i zatarł ręce.

Ale pielęgniarka ukazała się już po upływie pół godziny.

— Jak tam mój synek? — zagadnął ją Józio z rozpromienioną miną.

— Córka...

— Mówiła pani, że synek? — zawołał Józio i zauważyłem, że pobladł.

— Owszem: synek i córka — bliźniaki! — wyjaśniła pielęgniarka.

— Bliźniaki?! Cudownie! Hip, hip, hurra! Antoś i Bożenka!

— Anyżówka i bimberek! — uzupełniłem rzeczowo.

— Nic podobnego! Anyżówka i benedyktynka do kawki!

— Jeszcze lepiej...

— Popatrz, popatrz — mówił Józio z dumą — a jej rodzice twierdzili, że ja wyglądam, jakbym do trzech nie potrafił zliczyć!...

— Narazie zliczyłeś do dwóch... — wtrąciłem.

Ledwie to powiedziałem, znów ukazała się pielęgniarka.

— Jak tam córeczka? — wykrzyknął Józio.

— Synek...

— No, tak, synek i córeczka!

— Nie: synek, córeczka i synek. Trojaczki.

— Cooo?! — zawołał Józio, teraz blednąc już wyraźnie.

— Tak. Zdumiewająca historia: pańska małżonka powiła trojaczki!

— Celestyn — powiedziałem półgłosem.

— Tak, Celestyn — odparł Józio już bez zapału.

— I cytrynówka...

— Teeek...

— Ale swoją drogą mleko przydziałowe będziesz chyba woził wózkiem — mruknąłem współczująco.

— Hm...

Pielęgniarka zniknęła. Ale wróciła już po kwadransie.

— Jak tam moje trojaczki? — spytał Józio ponuro.

— Fantastyczna afera! — zawołała pielęgniarka. — Okazało się, że są czworaczki! I znów przyszedł na świat chłopczyk!

— Damazy i dereniówka! — oznajmiłem bez namysłu.

Józio spojrzał na mnie strasznym wzrokiem. Potem zwrócił się do kobiety w bieli:

— Obywatelko pielęgniarko! Proszę mi więcej detalicznie nie anonsować. Powie mi pani potem ogólną ilość... Ale na wszelki wypadek czy zna pani jakieś imiona na — Ż?

— Żelisław i żytniówka! — podsunąłem usłużnie.

Józio uśmiechnął się blado i — zemdlał

LUDWIK JERZY KERN

Wiersz do narwanej dziewczyny w obronie polskiego filmu

Spokojnie kochana, spokojnie jedyna,
ty jesteś ogromnie narwana dziewczyna.
I nie masz, złociutka, za grosz cierpliwości
i wciąż mnie zamęczasz i ciągle się złościsz.
I co dzień przychodzisz z tym nudnym pytaniem,
tak przecież nie można no, zrozum, kochanie.
To męczy, jedyna, to męczy szalenie,
a cóż ja poradzę, a cóż ja w tym zmienię?
Zbyt wiele momentów swą rolę tu gra,
poczekaj więc rok, albo dwa.

Ja wcale się, miła, nie dziwię dziewczynom,
że życie by swoje oddały za kino.
I wiem, że dla dziewczyn być w kinie to radość
i wiem, że to czyni marzeniom ich zadość.
I wiem też, że zbrzydły im obce już filmy
i krzyczą, że polskie być wreszcie powinny.
I wiem, jeszcze, miła, że dziewczyn jest dużo
i wszystkie podobnie do ciebie się burzą.
Lecz trudno. Ich chłopcy pocierpią jak ja
przynajmniej przez rok, albo dwa.

Bo widzisz, kochana (tak jest bezwątpienia)
produkcja filmowa, to kwestia kręcenia.
Są różni panowie i ich asystenci
i każdy, kochana jak może, tak kręci.
I mnóstwo ładują wyrzeczeń, poświęceń
dla kręceń, złociutka, jedynie dla kręceń.
I kręci się dużo, lecz dramat w tym właśnie,
że, psiakrew, tak ciężko jest kręcić na taśmie.
Dlatego, nim dobry film Bozia nam da
odskoczy w tył rok, albo dwa.

Jeżeli to mówię, to mówię bo wiem co
kosztuje monety, gdy w kraju coś kręcą.
I jeszcze dlatego, że znam ze słyszenia,
i trochę z widzenia fragmenty kręcenia.
I wierz mi, to bardzo niełatwe zadanie
dziewczynom wzruszenie jest dać na ekranie
i sprawić, by mogła z uśmiechem wyjść z kina
podobna do ciebie narwana dziewczyna.
Kręcenie jak dotąd, kochanie, wciąż trwa,
poczekaj więc rok, albo dwa.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

Ofiara metody

Doktór ruchem uprzejmym, zawodowym poprosił następnego pacjenta.

— Panię doktorze, w kilku słowach przedstawię chorobę, która mnie ostatnio nawiedziła...

— Odwiedziła — przerwał doktór z uśmiechem. Niemiłe odwiedziny, ale choć jeszcze nie wiem co to jest, poznaję w panu w gruncie rzeczy silny organizm psychiczny, dla którego pozbycie się niemiłego gościa będzie drobnostką.

Lekarz cieszył się opinią najlepszego w mieście psychiatry, a pobierając honoraria, których wysokość mogłaby załamać słabsze duchowo natury, nie szczędził za to pacjentom nadziei, wiedząc, że od niej już tylko krok do wiary, która uzdrawia.

— Cierpię na manię prześladowczą. Liczę. Wszystko liczę. Istota rzeczy przestała być dla mnie ważna, ilość weszła na pierwszy plan.

— Czyli po prostu powiedziawszy, co pan liczy?

— Wszystko. Sprzęty, guziki od ubrania, kafle pieca, kobiety przechodzące na ulicy —

— Kobiety także?

— Także.

Lekarz zamyślił się.

— Poco pan liczy? nie może pan myśleć o czym innym?

Pacjent popatrzył zdumiony, niepewny. Taksamo zapytał się go jeden znajomy, gdy mu się zwierzył ze swoich cierpień. No tak, lecz tamtemu nie potrzebował za to płacić honorarium. Nie wiedział teraz co odpowiedzieć i nieudolnie nawiązał do poprzednich wyjaśnień.

— Teraz na przykład, czekając w pańskiej poczekalni, policzyłem dzienniki leżące na stolikach, potem fotele, potem brylanciki w pierścionku pacjentki, która czeka w poczekalni.

Doktór poruszył się nieznacznie.

Pacjent rozwiódł się nad szczegółami, lekarz zręcznie przerwał.

— Od czego się zaczęła ta przykra mania?

— Powód niewinny. Mój synek właśnie uczył się rachować i korzystał z każdej sposobności, aby zawołać: Tatusiu, na stole jest siedem talerzy, czy tak? — Tatuś ma sześć guzików przy kamizelce, czy dobrze policzyłem? Sprawdzając, rachowałem wszystko po kolei. Mój synek już się nauczył liczyć, ale mnie to pozostało...

Lekarz uśmiechnął się dobrotliwie.

— Jest więc pan ofiarą nauki. No, ale my prędko pozbędziemy się tej manii.

Lekarz mówił w liczbie mnogiej. Miał zwyczaj choroby swoich pacjentów brać uprzejmie na swoje barki.

— Zacznijmy się leczyć w ten sposób: starajmy się myśleć przy każdym przedmiocie narzucającym się do liczenia, jaką wartość rzecz ta przedstawia, co stanowi jej treść, do czego służy?

Pacjent był zachwycony radą. Opuścił gabinet doktora, doszedł do schodów, którymi zaczął schodzić na dół:

— Jeden, dwa, trzy, cztery —

Przy ostatnim stopniu spostrzegł że już je obliczył.

Rozpoczęła się kuracja. Na drugiej wizycie doktór poradził pacjentowi wymienianie barw zamiast liczb.

Pacjent pełen otuchy wyszedł od doktora. Zbliżył się do schodów:

— Jeden, dwa, trzy, cztery —

Już stojąc na dole, mruknął: „Do diaska". Wrócił jeszcze raz na piętro i schodził powoli.

— Czerwone, zielone, niebieskie, cztery, pięć, sześć —

Każde ćwiczenie jest ciężkie. Powraca się do starych nawyczek.

Maniak ćwiczył się tak zapamiętale, że płacąc w sklepie cztery złote, odliczał zdumionej kasjerce:

— Czerwone, niebieskie, żółte. Proszę.

Po kilku wizytach pacjent wręczył doktorowi honorarium.

— Panie doktorze, pańska metoda jest doskonała. Wyleczył mnie pan idealnie.

Doktór i pacjent uścisnęli sobie dłonie. Pacjent będąc już na schodach, przypomniał sobie, ile te nieszczęsne schody sprawiały mu przykrości. Teraz przebiegł je swobodnie.

Doktór ubrał się i wyszedł z domu. Doszedł do schodów:

— Jeden, dwa, trzy, cztery — Co to znaczy? Poco ja liczę schody? — zorientował się dość prędko.

Za kilka chwil siedział w kawiarni. Znajomy przysiadł się do jego stolika.

— Bardzo się cieszę, doktorze, że zobaczyłem kogoś znajomego. Ani jednego stolika wolnego. Co za ruch. Dawno już nie było takiego przepełnienia.

— 146 osób — powiedział doktór zmartwiałym głosem.

W następnym numerze naszego pisma podamy szczegóły dotyczące rozstrzygnięcia

Konkursu „Rózeg"

CZY KUPIŁEŚ JUŻ...?
nowości satyryczno-humorystyczne
„SPACER CYNIKA" — St. J. Leca
(z ilustracjami H. Tomaszewskiego)
„ŁBEM O ŚCIANĘ" — Jana Huszczy
(z okładką K. Grusa)

Rys. Zenon Wasilewski

Leśniczy do żony: Teraz, kiedy zdechł mój stary Medor, mam już tylko ciebie.

Rys. Zenon Wasilewski

— Żona moja ma solitera. To niby niewiele, ale zawsze jedna istota więcej do wyżywienia

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź Piotrkowska 98 — telefon 212-57 D 08903
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej.
Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42.